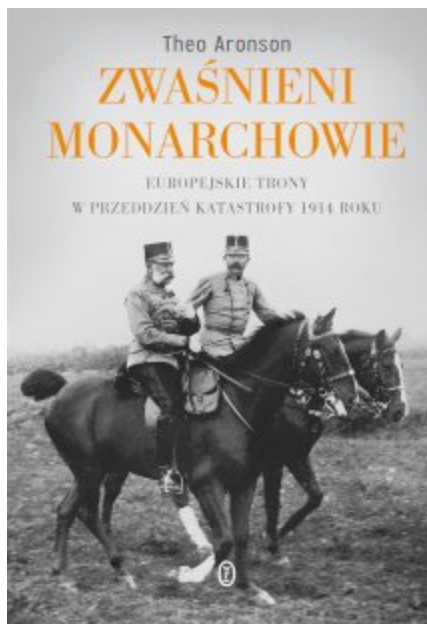


Zwaśnieni monarchowie - Theo Aronson

To nie jest książka, która opisuje historię pierwszej wojny światowej, nie dokonuję w niej też analizy sytuacji politycznej, ekonomicznej czy społecznej w Europie lat 1910–1918. Jej celem jest przedstawienie ostatniego okresu świetności europejskich monarchii, a przede wszystkim zarysowanie sylwetek dwunastu władców uwikłanych w konflikt wojenny. Tekst w dużej mierze koncentruje się na osobistych losach mniej lub bardziej znanych postaci, co skłania, by potraktować go raczej jako biografię aniżeli traktat historyczny.



To nie jest książka, która opisuje historię

pierwszej wojny światowej, nie dokonuję w niej też analizy sytuacji politycznej, ekonomicznej czy społecznej w Europie lat 1910–1918. Jej celem jest przedstawienie ostatniego okresu świetności europejskich monarchii, a przede wszystkim zarysowanie sylwetek dwunastu

władców uwikłanych w konflikt wojenny. Tekst w dużej mierze koncentruje się na osobistych losach mniej lub bardziej znanych postaci, co skłania, by potraktować go raczej jako biografię aniżeli traktat historyczny.

Theo Aronson

Zwaśnieni monarchowie. Europejskie trony w przeddzień katastrofy 1914 roku

rok wydania: 2014

Wydawnictwo literackie

Z całej olśniewającej uroczystości towarzyszącej pogrzebowi króla Edwarda VII, 20 maja 1910 roku, nic nie robiło takiego wrażenia jak parada królów —wolno sunący za trumną orszak pogrążonych w smutku królówi cesarzy, następców tronu, arcyksiążąt, wielkich książąt i książąt.

„The Times” pisał, że nigdy brytyjska stolica nie widziała podobnie wspaniałej, podniosłej i wzruszającej ceremonii. Wypełnionymi do ostatniego miejsca ulicami Londynu jechało konno trójkami pięćdziesięciu przedstawicieli królewskich rodzin: dziewięciu monarchów, pięciu następców tronu oraz czterdzieści cesarskich, królewskich i książęcych wysokości. Pod jasnym wiosennym słońcem, w którym lśniły złote galony, w łopocie pióropuszy, przy brzęku orderów i rynsztunku paradnych mundurów przesuwali się — jak pisze dalej z emfazą „The Times” — „mieniący się złotem, szkarłatem, błękitem i zielenią fantasmagoryczny wąż”. Za mężczyznami, w dwunastu karmazynowo-złotych karocach z rodowymi herbami, podążała konstelacja królowych i księżnych.

Była to wyjątkowo efektowna manifestacja monarszej potęgi. Nigdy wcześniej tak liczne grono członków rodzin królewskich nie zebrało się w jednym miejscu. „Królewski motłoch” — by użyć określenia królowej Wiktorii — całkowicie zdominował uroczystość, a republikańscy przywódcy, niezależnie od potęgi reprezentowanego przez siebie kraju, musieli się zadowolić miejscem na szarym końcu konduktu.

Tłumy wypełniające ulice od Westminster Hall po Paddington w mgnieniu oka rozpoznawały co znamienitszych gości. Za nowym brytyjskim królem Jerzym V jechał niemiecki cesarz Wilhelm II. Jego wygląd — nawoskowany wąs, stalowy wzrok i dumna postawa — był równie znajomy, jak znajome były wojownicze oświadczenia, od których europejskim dyplomatom przebiegały ciarki po plecach. Za nimi, po bokach władcy Grecji, starszego króla Jerzego I, jechali dwaj młodzi monarchowie: król Norwegii Haakon VII i król Hiszpanii Alfons

XIII. Pomiedzy carem Bułgarii Ferdynandem I oraz młodym królem Portugalii Manuelem II można było zauważyć króla Danii Fryderyka VIII; nieco dalej jechał najnowszy europejski władca, król Belgów Albert I, mający po lewej następcę tronu imperium austro-węgierskiego, a po prawej następcę tronu imperium otomańskiego.

Tu i tam pomiędzy podążającymi tłumnie przedstawicielami królewskich i cesarskich rodzin można było zauważyć kilka przykuwających uwagę postaci, jak wielki książę z Rosji, książęta japońscy i chińscy; brat egipskiego kedywa w fezie na głowie; garstka bałkańskich książąt w charakterystycznych okrągłych i płaskich czapeczkach; włoski książę w malowniczym mundurze, książę Syjamu o miodowej cerze i książę Persji o oliwkowej karnacji; następca tronu z Bawarii**** przepasany szkarłatną szarfą, austriacki arcyksiążę, holenderski książę małżonek, a także książę Daniło z Czarnogóry, który ku zakłopotaniu brytyjskich gospodarzy zjawiał się na uroczystości w towarzystwie wyjątkowo pociągającej młodej kobiety, którą przedstawił jako damę dworu swej nieobecnej małżonki. Gdy zbici z tropu urzędnicy wyrazili obawę, że w przepełnionym Londynie nie uda się dla niej znaleźć osobnego apartamentu, książę Daniło nie wydawał się tym w najmniejszym stopniu strapiony.

We wspomnianych dwunastu powozach siedziało przynajmniej siedem królowych, a towarzyszyły im różnorakie księżne, nierzadko z rodów królewskich, oraz młodsze dzieci brytyjskich władców, króla Jerzego i królowej Marii.

Chyba nikt na widok tego pełnego przepychu i majestatu orszaku nie mógł wątpić, że instytucja monarchii sięga zenitu. Bo w istocie trudno było o bardziej spektakularny przykład świetności europejskich rodów królewskich wczesnych lat XX wieku. A także potęgi wynikającej z niebywale ścisłych związków: nie licząc egzotycznych przybyszów ze Wschodu, większość gości łączyły więzy pokrewieństwa. Król Edward VII, znany jako wuj Europy, był albo rodzonym wujem któregoś z europejskich królów czy królowych, albo łączyło go z nimi innego rodzaju pokrewieństwo. Na palcach jednej ręki można by policzyć dwory europejskie, na których nie powoływano by się z dumą na koneksje z wywodzącym się z Koburgów Edwardem.

Tak więc pogrzeb władcy brytyjskiego był nie tylko uroczystością państwową, ale także rodzinną. Stał się, jak pisał jeden z koniuszych zmarłego, „spotkaniem krewnych, połączonym z przeglądem stanu liczebnego monarszej profesji”. Z pewnością nie brakowało osób, które uważały, że ten zlot suwerenów odzwierciedla apogeum długiej historii europejskich domów panujących.

Parada królów była także namacalnym dowodem trwałości instytucji monarchii. Któż w czasach Rewolucji Francuskiej, która niemal zmiotła z ziemi ideę królewskich rządów, mógł przypuszczać, że w sto lat później będą one tak bujnie rozkwitać? Owszem, niektóre trony runęły, a inne drżały w posadach, ale sama koncepcja monarchii ocalała. Nie tylko przetrwała burzę rewolucji francuskiej i innych, pomniejszych rewolt, ale zdusiła w zarodku wszelkie idee liberalne, demokratyczne, socjalistyczne i radykalne, którymi rozbrzmiewał XIX wiek.

Jak do tego doszło? Po pierwsze, wykazując się zadziwiającą elastycznością, rządzące domy, zamiast walczyć z liberalnymi prądami, asymilowały je. Było to ze strony królów działanie równie skuteczne, jak gdyby podpisali z liberałami pakt o nieagresji. Wcielając w życie część nowych poglądów rozpowszechnionych wśród rosnącej klasy średniej, władcy w znacznym stopniu hamowali rozwój całego prądu i wytrącali broń przeciwnikowi. Gdy lud pragnął konstytucji, natychmiast ją otrzymywał. Gdy wszczynał boje o powszechne prawo wyborcze, zaraz je dostawał. Zdaniem jednego z historyków dziewiętnastowieczni monarchowie „stali się ekspertami od wyszukiwania i wykorzystywania do własnych potrzeb nowych idei, co jednak nie odbywało się kosztem ich tradycyjnego statusu, ani też temperamentu czy poglądów”. Stali się specjalistami w sztuce przetrwania.

Monarchia, jak stwierdza jeden ze skwaszonych ówczesnych brytyjskich polityków, „zaprzedała się demokracji jako symbol samej siebie”. Może i tak, ale dzięki takiemu zabiegowi nie tylko wytrzymała napór dziewiętnastowiecznych prądów politycznych, lecz także wyszła z konfrontacji ze wzmocnionym prestiżem. Zamiast maleć, liczba tronów rosła: w drugiej połowie XIX wieku i początkach XX powstało około sześciu nowych dworów królewskich. Był to proces tak naturalny, że jeszcze w 1905 r., gdy Norwegia ogłosiła niezależność od Szwecji, nikomu nie przyszłoby do głowy, że na czele nowego państwa mógłby stanąć kto inny niż król. Europejscy monarchowie bez zwłoki nałożyli koronę na głowę duńskiego księcia i osadzili go na tym „rewolucyjnym” tronie jako Haakona VII.

W rezultacie takich działań w 1910 r. monarchii było więcej niż kiedykolwiek. Nie licząc władców księstw i królestw, z których składało się niemieckie imperium, w Europie rządziło dwudziestu monarchów. Niemal we wszystkich krajach, prócz Szwajcarii oraz Francji (choć i w tym ostatnim kraju monarchia była w poprzednim stuleciu przywracana aż czterokrotnie), rządził suweren.

Mimo że pogląd o boskim pochodzeniu władzy królewskiej już dawno stracił cechy aksjomatu, nikt nie negował jej dziedziczności, i ani w przypadku wszechwładnych autokratów rosyjskich, ani monarchów konstytucyjnych w Wielkiej Brytanii, praktycznie pozbawionych władzy, autorytet i pozycja suwerena nie doznały większego uszczerbku. Namaszczone z pełnym ceremoniałem władca nadal wydawał się postacią całkowicie niedostępną, niemal mistyczną, której krokami kieruje opatrność.

Niezależnie od stopnia sprawowanej władzy królowie i cesarzowie stali na samym szczycie systemu politycznego Europy. Byli najważniejszymi przedstawicielami narodu, uosobieniem państwa i jego trwałości, symbolem kontynuacji, ucieleśnieniem jego przeszłości, a zarazem współczesnej tożsamości. Na nich skupiała się lojalność i wierność poddanych, w ich imieniu tworzone prawo, wydawano dekrety, podpisywano przymierza i wypowiedziano wojny. Ich portrety pojawiały się nie tylko w urzędach i wielu mieszkaniach prywatnych, lecz także na banknotach, monetach i znaczkach. Podobizna monarchy była tak święta, że w niektórych regionach Rosji urzędnicy pocztowi bali się stemplować znaczki z widniejącą na nich głową cara.

Głównym celem starannie wyreżyserowanych uroczystości państwowych było podkreślanie roli monarchii, a król, cesarz czy car stawali się ich głównymi bohaterami. Obojętnie, czy władcą był mędrzec czy dureń, siłacz czy słabeusz, adonis czy pokurcz, dopracowany w każdym szczególe scenariusz wystąpienia publicznego czynił z niego postać równą bogom. Przede wszystkim liczył się oczywiście efekt wizualny i szybko odkryto, że nic tak nie dodaje blasku, nawet najmniej interesująco prezentującym się suwerenom, jak brzęczący medalami mundur, świta nobliwie wyglądających koniuszych i szpaler zginających się w służalczych ukłonach urzędników.

Jako wodzowie naczelni armii, monarchowie mieli wymarzone warunki, żeby sobie zapewnić maksimum lojalności i posłuszeństwa. Bezustannie dokonywali przeglądów jednostek, brali udział w manewrach i paradach. Nikt nie miał wątpliwości, również w wojsku, że to król czy cesarz jest ich bezpośrednim zwierzchnikiem. Podkreślali to także sami władcy, na przykład Franciszek Józef w stosunku do żołnierzy austro-węgierskiego imperium zawsze używał określenia moja armia. Przypuszczalnie w rewanżu za ten serdeczny stosunek odziani w szykowne mundury oficerowie często maszerowali z głową wysuniętą do przodu i opuszczonymi ramionami, naśladując pochyloną sylwetkę starzejącego się cesarza.

